

W Nowy Rok pojechałem do Zakopanego, na spotkanie z moim kolegą Patrykiem, z którym byłem umówiony na trzydniową wycieczkę po Tatrach. 2 stycznia pojechaliśmy na Słowację i ruszyliśmy do Terycho Chaty, w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich. Pogoda, zgodnie z zapowiedziami, była marna. Duże zachmurzenie, wiatr, opady śniegu. Po dwóch godzinach i piętnastu minutach marszu zameldowaliśmy się u chatara. Korzystając z kilkugodzinnego przejaśnienia postanowiliśmy wejść na pobliskie Baranie Rogi. Nie śpiesząc się w ciągu trzech godzin zdołaliśmy zrealizować nasz plan.

Zmierzch nadal zapada szybko, więc chwilę po szesnastej, na stołach jadalni schroniska stoją już lampy naftowe. Zaczyna się długi wieczór. Jemy kolację, długo rozmawiamy o górach, o zimowej wyprawie na K-2, o naszych osobistych planach na 2003 rok, ot tak dla zabicia czasu.

Wszystkie stoliki są zajęte. Są Anglicy, Niemcy, jest też trzech Czechów. Nie wyróżniają się, cały czas grają w karty z Tomaszem, pomocnikiem chatara. Wieczór kończy się koło 21. Przecież jutro czekają nas nowe przejścia, o ile pogoda na to pozwoli. Ranek przynosi pogorszenie pogody. Wieje silny wiatr, jest mglisto, pada śnieg. Pogoda typowo barowa. Patryk pyta mnie, co w taką pogodę robią ludzie z obozu zimowego KW Trójmiasto (ich obóz był w Moku, a jego kierownikiem był mój kolega, Ziutek). Odpowiadam, że pewnie piją piwo. My, mimo niesprzyjającej aury, postanawiamy przejść się drogą turystyczną w kierunku Durnego Szczytu. Z pewnym trudem, w zadymce, rozpoznajemy jej początek. Robimy 300 m przewyższenia, po czym zawracamy. Na głowę wali się z góry śnieg, jest kompletnie beznadziejnie. Po trzech godzinach wracamy do schroniska. Jest 13.00. O 14.00 już jesteśmy po obiedzie. Mamy zamiar wykorzystać resztę dnia na czytanie książek. Nagle do holu schroniska wpada ktoś w rakach. Chatar widząc człowieka, który rysuje posadzkę kolcami krzyczy: w maczkach won! Przybysz mówi coś podniesionym głosem. Nie słyszę dokładnie. Coś o lawinie, o ojcu, koledze. Mówię do Patryka, że chyba coś się stało. Patryk jednak nie reaguje, czyta dalej. Kiedy pada hasło Horská Služba. Zagaduję do Patryka, że chyba naprawdę był wypadek, że chyba pojdziemy na akcję. Patryk jakby nie słysząc, czyta dalej. Wtedy w drzwiach staje Tomasz, pomocnik chatara i rzuca krótko: Jest wypadek, idziecie? Natychmiast podrywamy się na nogi i lecimy po przemoczone ubrania, które ledwo co powieliliśmy na kaloryferach. Już jesteśmy przy drzwiach, na ławce widzę jednego z Czechów. Siedzi lekko skulony, trzęsie się jak galareta, jest w szoku. Nie zamieniamy ani słowa. Teraz biegiem, przez zasy, w szalejącej zadymce udajemy się w kierunku Czerwonej Ławki. Na chwilę wszystko przestaje się liczyć. Już nic mi nie przeszkadza, ani ciągle parujące okulary, ani mokre ubranie, nawet zwichnięty palec już mnie nie boli. Na trasie do podstawy piargu leżącego pod Czerwoną Ławką bijemy wszelkie rekordy. Dopiero gdzieś na końcu drogi Tomasz staje na chwilę żeby się wysapać. Przez ramię rzuca, że oni już nie żyją, ale musimy tam iść. Po dotarciu do podstawy piargu Tomasz rozpoznał dwa ciała leżące na

śniegu, w dolnej części piargu. Po kilku minutach podejścia stajemy przed nimi. Mimo relatywnie krótkiego czasu śnieg zdołał je częściowo zasypać. Delikatnie odsuwamy śnieg. Głowy obu alpinistów są rozbite. Wkoło małe plamy krwi i sporo żółtych plam. To chyba płyn mózgowordzeniowy, przelatuje mi przez myśl. Nie żyją. Na nogach widzę nowe Grivele, u drugiego Cassiny. Obaj mają na sobie uprząże. Nie widzę liny, nie ma też nigdzie kasków. Zaczynamy przygotowywać ciała do transportu. Zbieramy rzeczy zabitych, potem najdelikatniej jak można, ciągnąc za nogi, ściągamy ciała do podstawy piargu i układamy pod wielką wantą, chroniąc je przed zasypaniem. Przed tym wyciągamy dokumenty pechowych alpinistów. Z miejsca wypadku zabieramy plecaki obu i po odmówieniu przez Patryka cichej modlitwy ruszamy w drogę powrotną. Bez przeszkód dochodzimy do schroniska. Rozmawiam z jedynym człowiekiem, który przeżył feralną wycieczkę. Opowiada mi co się stało, a właściwie opowiada to, co wie i pamięta. Po godzinie od naszego powrotu do Terycho Chaty dochodzą pierwsi ratownicy Horskjej Służby. Jednak z powodu zapadających ciemności nie podejmują dalszych działań. Kolejnego dnia rano dochodzi druga grupa ratowników. Bez trudu odnajdują ciała i zaczynają ich transport na dno Małej Studenej Doliny.

Jak doszło do pierwszego śmiertelnego wypadku roku 2003 w Tatrach?

Z opowiadań Czecha wynikało, że on, razem ze swoim tatą i najlepszym kolegą, postanowili dokonać przejścia przez Czerwoną Ławkę do Zbójnickiej Chaty. Początkowo wszystko było dobrze. Bez kłopotów pokonali ścianę ubezpieczoną łańcuchami i wyszli nad nią, na zbocze zasypane śniegiem. Tam zaczęli trawersować w kierunku siodła. On został 20 (50) m za nimi. Nagle zesza lawina i porwała całą trójkę. Skąd? Tego nie potrafił powiedzieć, bo jej nie widział. Lawina przerzuciła ich przez ledwo co pokonany próg skalny. Polecieli w przepaść i zatrzymali się dopiero na wielkim piargu u jej podstawy. Czech musiał mieć nieco inną trajektorię lotu, niż jego tato i najlepszy kolega, bo wyszedł z upadku bez obrażeń. Tamci musieli zahaczyć o wystające części ściany i właśnie na nich rozbili czaszki. Mój rozmówca, po dojściu do siebie, podjął natychmiast reanimację swojego ojca i kolegi, ale była bezskuteczna. Kiedy upewnił się, że nie żyją, ruszył do schroniska po pomoc.

Najwyraźniej zespół został zaskoczony. Nie ocenił też właściwie sytuacji. Jeszcze dzień wcześniej zagrożenie lawinowe było zaledwie pierwszego stopnia. Ale w nocy z 2 na 3 stycznia i część dnia, śnieg padał non stop. A może nie przewidzieli, że pyłówka może ich zmieść w przepaść z progu skalnego? A może szli tą drogą już któryś raz i poszli na pamięć, z przekonaniem, że nic się im nie może stać? Tego już się nie dowiemy.

Z pewnością brak kasków na głowach obu i nieużycie liny, którą mieli w plecaku to poważne błędy, które wskazują, że czuli się pewnie. Zbyt pewnie.

Niczego nie chcę oceniać i udowadniać. Niniejszym opisuję dramat, który rozegrał się tuż obok mnie i w którego ostatnim akcie uczestniczyłem. Szkoda, że nikomu nie mogliśmy już pomóc.

**Boguś Magrel**  
**Polski Klub Alpejski**